ROK XIII. ZESZYT 2.
Maj 1938.

ADMINISTRACJA
Kraków, Pędzichów Boczna 5.

DWÓR MARII

KWARTALNIK SODALICYJNY

ORGAN OGÓLNEGO ZWIĄZKU SODALICJI PAŃ WIEJSKICH W POLSCE

Drukowane jako rękopis dla członków.

Przemowa z Bazyliki św. Piotra podczas obchodu kanonizacji św. Andrzeja Boboli.

Pierwszy, a może jedyny raz w całych dziejach naszej Ojczyzny możemy przesłać z Rzymu *takie* Alleluja całej polskiej ziemi. Płyną te słowa nasze z bazyliki św. Piotra, gdzie dokonała się przed chwilą uroczysta kanonizacja naszego Rodaka, św. Andrzeja Boboli. Przed chwilą orzekł najwyższy Pasterz i nieomylny Nauczyciel chrześcijaństwa, że nasz, Błogosławiony dotąd, polski Męczennik ma być czczony w całym Kościele, jako jeden ze Świętych Pańskich. Z bijącym sercem wysłuchały tego nieomylnego wyroku zebrane w bazylice nieprzeliczone tłumy, z bijącym sercem przyjmie go przede wszystkim nasza Polska. Boć ten Bohater, co zajaśniał teraz przed całym Kościołem w chwale Świętych, to kość z kości naszej i krew z krwi naszej, to syn i chluba naszej ziemi, to nasz pocieszyciel w czasach niewoli, to cudotwórca, co takie już mnóstwo łask zesłał na polskie ziemie, to nowy nasz Patron u Boga i potężny pomocnik we wszystkich naszych potrzebach.

A więc nam przede wszystkim powtarzać dzisiaj te słowa, którymi Kościół w dzień wielkanocny ustawicznie przeplata swą liturgię i pacierze kapłańskie: Ten jest dzień, który uczynił Pan; radujmy się i weselmy się w nim! Niech rzymska uroczystość znajdzie oddźwięk w tych tysiącach polskich dzwonów, które odezwą się po miastach i wioskach na podziękę Bogu za wielką łaskę, jaka nas spotyka; niech znajdzie oddźwięk przede wszystkim w polskich sercach, które powinny otoczyć nowego Świętego wieńcem dziękczynnych i błagalnych modlitw. Nie można wątpić, że On dzisiaj i nadal jeszcze hojniej niż dotąd, rozdawać będzie łaski, jakie wysłużył zasługami apostolskiego swego życia i męczeńskiej śmierci. Spojrzy On z góry, od stóp Bożego tronu, na te miasta i wioski, gdzie niegdyś pracował, na Płock, Pułtusk, Nieśwież, Bobrujsk, Wilno, Warszawę i całe mnóstwo innych miejscowości, które pracą swą użyźnił, ale zwłaszcza na ten Pińsk i Pińską ziemię, gdzie w Janowie poleskim krew przelał za wiarę w straszliwej męczarni. A spojrzy na całą tę ziemską swą przeszłość, by umiłowanej Ojczyźnie łaski pożądane upraszać, by wziąć w umęczone dłonie i publiczne i osobiste potrzeby tych wszystkich, co doń uciekać się będą, i przedstawić je Bożej dobroci.

Niechże więc cała Polska stanie dziś w duchu u tronu naszego wielkiego świętego Andrzeja Boboli, niech dziękuje, niech poleca się temu, który sam niegdyś obiecał w proroczym widzeniu, że będzie jednym z głównych jej patronów. Nie możemy wątpić, że nie będzie patronem na darmo. Zaczną znowu płynąć z nieba łaski i pomoce, tak, że ten poranek wielkanocny 1938-go roku zaznaczy

się jasną smugą światła w dziejach mnóstwa serc polskich i całej naszej Ojczyzny.

Święty Andrzeju Bobolo, weź nas wszystkich w serdeczną, a przemożną opiekę; niech nas Bóg przez Ciebie broni od złego i wszelkim dobrem napełnia! Amen.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Wobec wizji chrześcijańskiego ustroju.

Od Redakcji:

Artykuł niniejszy zamieszczamy przede wszystkim jako artykuł dyskusyjny i gorąco prosimy czytelniczki ew. czytelników o zabranie głosu na tematy poruszone.

Program Akcji Katolickiej jest programem maksymalistycznym. Jej celem jest przecież — pełne chrześcijaństwo.

Przez Akcję Katolicką zdążamy nie tylko do jak najdalej idącego udoskonalenia jednostek ludzkich, lecz także do zasadniczych zmian dotyczących współżycia ich ze sobą, — do reformy urządzeń społecznych, a nawet ustroju własności. Oczywiście, samo przeprowadzenie tych reform leżeć będzie w rękach państwa, które posiada odpowiednie po temu środki. Lecz zadaniem Akcji jest poruszyć opinię, nadać kierunek tym przemianom, a przede wszystkim, wychować ludzi do nowego ustroju.

Pełne chrześcijaństwo! Zniknąć ma przedział między „bogatymi" a „biednymi", w dzisiejszym tych słów rozumieniu, bo każda własność, choć między prywatne osoby podzielona, służyć ma nie tylko jej posiadaczom, lecz ogółowi. Sprawiedliwy podział dochodu społecznego, uzupełniony chrześcijańskim miłosierdziem, stworzy dla każdego dostateczne warunki do życia i kształtowania swej osobowości. Nie będzie „dobrze" i „źle" „urodzonych", bo pojęcia takie nie utrzymają się w atmosferze przenikających tę jedną wielką chrześcijańską rodzinę, w jaką przemieni się społeczność ludzka. Zmieni się gruntownie współżycie ludzi, ich wzajemne odnoszenie się do siebie. Traktować się będziemy naprawdę jako bracia w Chrystusie. Pracodawca uszanuje w swym robotniku obraz i podobieństwo Boże i serdecznie współpracować będzie z tym, któremu Bóg naznaczył, by przez pracę wspólnie z nim używał danej mu we włodarstwo własności. Robotnik wyzbędzie się zazdrości, wiedząc, że sprawiedliwa zapłata i opieka organizacji społecznych dadzą mu możność dojścia do własnego mienia. Światem nie będzie już kierować pycha, żądza złota i władzy, bo wszyscy zrozumieją, że człowiek jest pyłkiem wobec Boga i nie ma się z czego pysznić, a władza i złoto, to marność nad marnościami, i że używać ich należy tylko jako środków do celu wyższego, a nigdy jako narzędzi osobistej rozkoszy.

Nie są to mrzonki ani egzaltacja. Nie, to jest realny program, to wizja, wyprowadzona z Piusowej encykliki „Quadragesimo Anno". Dlatego musimy ją w stu procentach zaakceptować. I musimy się z tym pogodzić, że prawdziwą Akcją Katolicką nie jest ta, która poprzestaje na masowych zjazdach, śpiewach, sztandarach i tp., lecz która prawdziwie walczy o właściwy efekt, o uchrześcijanienie życia społecznego. A do tego trzeba, byśmy się zdobyli na heroizm apostolstwa czynu w tym właśnie najtrudniejszym zakresie, w sprawach dotyczących używania przez nas dóbr doczesnych.

„Powrót do skromnego życia..." — jak czytamy w enc. „Divini Redemptoris". Miłosierdzie... Tak, ale to wszystko mało. Miłosierdzie nie może być ochłapem, paliatywem. „Nie można domu budować od dachu" pisze pewien wybitny katolicki socjolog, komentując zdanie Piusa XI z enc. „Quadragesimo Anno": „miłość nie może zastąpić sprawiedliwości".

A więc — s p r a w i e d l i w o ś ć społeczna! Jak ją realizować? „Miłość pozbawiająca robotnika zapłaty, która mu się słusznie należy" — pisze twardo Ojciec święty w enc. „Divini Redemptoris", jakby kontynuując myśl poprzednią — „nie jest miłością, lecz nędznym jej pozorem". Czy my, polscy ziemianie, dawaliśmy swoim robotnikom zawsze sprawiedliwą zapłatę? Czy sum wydawanych na cele dobroczynne, nie uzyskiwaliśmy kosztem nędznych warunków życiowych dawanych naszej służbie, błędnie rozumując, że „gospodarstwo nie jest instytucją charytatywną i musi odrzucać jak najwyższe zyski", choćby dzięki zastosowaniu śmiesznie niskich wynagrodzeń robotniczych?

„Olbrzymia armia robotników rolnych, zepchniętych na najniższy poziom życia i wszelkiej pozbawionych nadziei dojścia kiedyś do kawałka ziemi, jeśli nie wejdzie się na drogę celowych i skutecznych reform" — pisze Pius XI, mając prawdopodobnie na myśli i naszych polskich fornali, mieszkających w nędznych barakach, „skarbówki" śpiące na pryczach z krowami i nie mające wolnych niedziel, oraz biedotę, dochodzącą do dworu na zarobek.

Słyszę zarzut: to wszystko przesada, a poza tym — gospodarstwo nie daje takich dochodów, by można było płacić więcej, niż się płaci obecnie.

Jeżeli to prawda — w takim razie wszystko w porządku. Encyklika „Quadragesimo Anno" uczy, że płaca nie może przez swą nadmierną wysokość naruszać całości przedsiębiorstwa. Wedle stawu grobla.

Ale niestety — to nie jest prawdą. W setkach wypadków, właściciele ziemscy mogli byli zapłacić lepiej, prowadzili życie na wysokiej stopie i mieli nawet podczas „kryzysu" dobre dochody, a stawki płac robotniczych były u nich nieraz nawet niższe od norm, przewidzianych umowami zbiorowymi. Tak długo, póki socjaliści nie założyli związku i nie wystrajkowali podwyżek. Okropność, — jakaż to odpowiedzialność przed Bogiem za dusze tych ludzi! Jakiż ciężar krzywdy na sumieniu, wyrządzonej bliźnim!

Jeżeli ziemianie chcą sobie zasłużyć na jakiekolwiek miejsce w przyszłym ustroju społecznym, jeżeli nie chcą, by zmiotło ich życie — muszą zreformować swój stosunek do robotników.

„Jakkolwiek podzielona między prywatne osoby, ziemia nie przestaje służyć wspólnemu użytkowi wszystkich" głosi Leon XIII w enc. „Rerum Novarum". Trzeba brać sprawę w ten sposób, że ten majątek ziemski nie jest tylko dla mnie, a wydatek na robociznę takim samym malum necessarium jak n. p. koszt remontu budynków lub pasza treściwa dla bydła, lecz, że ta ziemia jest dana mi po to, bym nie tylko ja z niej dostatnio wyżył, lecz bym dał jak najlepsze utrzymanie jak największej ilości rodzin. Przy takim postawieniu sprawy, zrozumiemy niejeden nasz błąd i uznamy potrzebę wielkiej zmiany postępowania.

Jeżeli zboże zdrożało, to zdrożało nie tylko dla mnie, lecz i dla robotnika, któremu można i trzeba wobec tej zwyżki zapłacić więcej, choćby on sam jeszcze nie umiał o to się upomnieć. Jeżeli jest dobry urodzaj, gdy Pan Bóg daje więcej, to daje nie tylko dla mnie, lecz i dla tych, którzy znoszą „ciężar i upalenie dnia". Trzeba lepszym dochodem w tej czy innej formie podzielić się ze służbą (w postaci „premii", „korcowego" i tp.). Jeżeli mogę „obstać", płacąc służącej 5 czy 10 zł. miesięcznie więcej niż dotąd, to nie mam co oglądać się na to, że „tak gdzie indziej płacą", lecz uskutecznić podwyżkę, gdy pracownica na to zasługuje. Tego rodzaju bowiem kryterium, jak „rynkowa cena pracy, nie istnieje dla chrześcijańskiej etyki społecznej. Są to błędne pojęcia, narosłe pod wpływem liberalnym doktryn ekonomicznych, z których winniśmy jak najprędzej się wyleczyć.

Dla naszych robotników powinniśmy wogóle mieć jak najbardziej szeroką rękę. Jest powiedzenie „dzieciom ludzi miłosiernych nie zabrakło nigdy chleba". Zmieńmy „miłosiernych" na „sprawiedliwych", a piękne to zdanie zachowa nadal swą wartość i głęboką prawdę. Znaną jest rzeczą, że majątki ziemskie, w których służba jest dobrze zapłacona i potraktowana, prosperują najlepiej, mają wszystko na czas zrobione i mają najlepsze zbiory. Pan Bóg daje dóbr tego świata najwięcej tym, którzy sprawiedliwie umieją je rozdzielać.

Tę szeroką rękę trzeba mieć, gdy chodzi n. p. o emerytury. Zbrodnią jest pozbawiać pracy n. p. takiego, który przesłużył 24 lat, aby nie być zobowiązanym do zaopatrzenia na starość dla niego. Ale i ci, którzy poczuwają się do utrzymywania emerytów, nie powinni poprzestawać na bylejakich świadczeniach, lecz dawać je w wysokości naprawdę wystarczającej, choćby to było dla naszego budżetu wielkim ciężarem. Nie obawiajmy się, wydatek ten zniesiemy napewno lżej, niż inne, często zbyteczne, rozchody na nasze osobiste potrzeby. Podobnie jest z leczeniem służby. Dbajmy o to, by zgodzony przez nas lekarz naprawdę starannie spełniał swój obowiązek, nie żałujmy na szpital, gdy zajdzie potrzeba i td. Leczmy naszą służbę nieomal tak, jak siebie samych. Wymaga tego sprawiedliwość społeczna, choćby ustawy i umowy zbiorowe podawały mniejsze wymagania.

Aby stosunek pracodawcy do robotnika można było określić jako prawdziwie chrześcijański, trzeba, by pierwszy dawał mu nie tylko sprawiedliwą płacę, lecz stworzył dlań takie warunki pracy, by jego rozwój duchowy mógł postępować. Oto najważniejsza na dziś dla nas — Akcja Katolicka!

Mam tu na myśli głównie dwie sprawy: 1) sprawę skrócenia dnia pracy i 2) sposób odnoszenia się pracodawcy do robotnika.

Oczywistym jest, że we żniwa musi się robić od wschodu do zachodu. Natomiast poza żniwami, można i trzeba dzień pracy skrócić do 10 godzin, tak, by praca rozpoczynała się o 6-ej, a kończyła się o 18-ej. Jak to pięknie, gdy słońce jeszcze wysoko, a młodzież robotnicza ma czas wolny, idzie na nabożeństwo majowe do kościoła, lub na zebranie Akcji Katolickiej! Jeżeli jest jakaś pilna robota, n. p. zbiór siana, a deszcz nadchodzi, można zawsze pracę przeciągnąć, ale takich będzie tylko kilka dni. Za skrócony czas pracy, robotnik nagrodzi większą jej wydajnością. A będzie miał kiedy czas być trochę wolnym człowiekiem, nacieszyć się pięknem przyrody, a przez nią — wielkością Boga. Bo to, że w zimie robotnicy rolni mają krótki dzień pracy, wyrównujący nadwyżkę godzin w lecie, nie zmienia faktu, że wobec pracy zawsze od wschodu do zachodu, uczymy ich niejako nienawidzieć słońce i dzień od Boga dany, bo on zawsze cały jest przeznaczony dla nich po to, by tylko wisieli przy folwarku. Zastanówmy się nad psychologicznym aspek-

tem tego stanu rzeczy, i — zgódźmy się na konieczność reformy w tym względzie.

Gdy zaś chodzi o odnoszenie się do robotników, to zachodzi tu pozorna trudność, wyrażająca się w takim zdaniu: Ludzie są leniwi i gdy się ich krótko nie trzyma, to nic nie robią i gospodarstwo idzie na psy — musi się więc być dla nich surowym.

Prawda, że tu i ówdzie służba jest tak zdemoralizowana, że gdyby jej ciągle nie poganiano, toby nic nie robiła i tylko kradła. Lecz, jakże często jest to winą właścicieli! I jak wiele można naprawić, gdy ten „zły" fornal zobaczy, że państwo nie tylko urządzają dlań rekolekcje, lecz i sami chcą traktować go jak człowieka, jak brata w Chrystusie.

Nie można stawiać nadmiernych wymagań i bawić się w amerykańską organizację pracy, n. p. gdy chodzi o współczesne pokolenie fornali dworskich. Są to niemal bez wyjątku ludzie, którzy albo mają rozedmę płuc (nabytą na „Italiańskim froncie"), albo przestrzeloną nogę, albo żołądek popsuty konserwami i tp. Dadzą oni ze siebie ile będą mogli, gdy nie będziemy obarczali ich pracą nad siły. Dalej, nie należy się zrażać tym, że w jednym czy kilku wypadkach, łagodna perswazja nie dała równie dobrego rzekomo wyniku, jak sprzeklinanie od durniów i łajdaków. Zawsze pamiętajmy: ci ludzie są naszymi braćmi w Chrystusie, który patrzy, jak się z nimi obchodzimy! Nie należy też zbytnio obawiać się, że podanie ręki do uścisku poważnemu słudze, ojcu rodziny czy jego żonie, rozzuchwali ich zbytnio. Przechowany z czasów feudalno-pańszczyźnianych zwyczaj całowania w rękę „panów", nie może być w obecnych czasach uważany za chrześcijański! Takie zbytnie uniżanie się, nie kształci chrześcijańskiej pokory, a tylko zabija w człowieku osobowość. Dziś bowiem są nie te czasy, co były, formy współżycia ludzi inne, swobodniejsze, toteż konserwowanie takich przedpotopowych zwyczajów nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza dla tych, którzy chcą pracować w Akcji Katolickiej i mają do życia społecznego wprowadzić katolickie obyczaje i zasady.

Nie mógłbym zakończyć tego przeglądu najważniejszych punktów reformy stosunku ziemian do swych robotników, nie wspominając bodaj o chrześcijańskich związkach zawodowych. Jak wiemy, Pius XI chce przyszły ustrój społeczny oprzeć na dobrowolnych, duchem chrześcijańskiej współpracy owianych związkach pracowników z jednej, a pracodawców z drugiej strony, oraz na utworzonych w oparciu o te dobrowolne związki, samorządnych korporacji zawodowych, działających pod opieką państwa. Winniśmy dlatego jak najbardziej ułatwiać powstawanie chrześcijańskich związków wśród naszych robotników. Za niedopuszczalny wybieg uznać należy twierdzenie, że działacze tych związków nie dorośli do wysokości zadania. Nic doskonałego bowiem od razu nie stworzono i musimy właśnie poprzeć te organizaje i dać możność wyrobienia się ludziom, którzy je prowadzą. Z goryczą pisze Pius XI w enc. „Divini Redemptoris", iż niektórzy „pracodawcy katoliccy okazują się wrogami tego chrześcijańskiego ruchu robotniczego, który My sami zalecaliśmy". Postarajmy się czym prędzej, by nikt nie mógł powiedzieć, że zarzut ten nas właśnie dotyczy! Zresztą, jeśli uda się jakiemuś ziemianinowi o wątpliwych przekonaniach katolickich, uniemożliwić powstanie związku chrześcijańskiego, to doczeka się tego, że założą go socjaliści. Będzie wtedy miał za swoje!

Na tym kończymy pierwszą część niniejszego artykułu, a w drugiej przejdziemy do zagadnienia: Ziemianie, a chłopi i „kwestia wiejska".

K. M.

O podniesienie kultury umysłowej w naszych dworach.

Nie ma dziś godniejszego i bardziej rozpowszechnionego słowa, jak słowa kultura. Kultura polityczna, kultura gospodarcza, rolna, kultura wsi — nie słyszy się i nie czyta o niczym innym. Ten kult słowa kultura (bo więcej w tym kultu dla słowa, jak dla rzeczy) jest może trafnym instynktem epoki rozwichrzenia, zaślepienia i wrzenia — ku rzeczy tym zjawiskom się przeciwstawiającym. Bo jak wiemy i jak geneza tego słowa wskazuje, kultura jest właśnie przeciwieństwem nieładu i powierzchowności. Oznacza jakąś uprawę w głąb, jakieś uporządkowanie i ustabilizowanie spraw od korzeni.

Jest rzeczą potrzebną samą w sobie, a nie jedynie dla celów praktycznych i bezpośrednich — i naodwrót praktyczną i pożyteczną jest jedynie wtedy, kiedy jest w pewnym sensie bezinteresowna i uprawiana dla niej samej, dla jej własnych potrzeb i wedle jej własnych praw i wymagań.

Te uwagi ogólne i może zbyt ogólnikowe stosują się przede wszystkim do tej kultury umysłowej, o którą nam tu chodzi, a która z kolei jest bazą i fundamentem wszelkich kultur praktycznych, życiowych i programowych.

Bo czymże jest kultura umysłowa? Niczym innym tylko po prostu uprawą własnego umysłu. Jest i jego kształceniem i przerabianiem i zmuszaniem go do pracy samodzielnej, a także zmuszaniem go do coraz szerszych, poza ramy praktycz-

nego życia codziennego wychodzących zainteresowań.

Celowo używam słowa „zmuszać", bo w pojęciu kultury tkwi pierwiastek pewnego wysiłku i pewnego przezwyciężenia. Człowiek jest z natury swej istotą bardziej leniwą i bardziej utylitarną niż się na pozór wydaje, bardzo łatwo a nawet chętnie usuwa ze swego pola widzenia rzeczy, które nie służą bezpośrednio jego życiowym i praktycznym celom. Znajduje w tym nawet pewną przyjemność, pewne zadowolenie swego egocentryzmu.

Mnie obchodzi, czym opryskiwać na wiosnę sad, jaki ułożyć budżet domowy, jak zorganizować dom, a nie, co właściwie myślała Izabella d'Este i co chciał powiedzieć Norwid w swym Promethidionie. Te rzeczy są dla mnie ważne, tamte w gruncie rzeczy mnie nie obchodzą. To jest może nie wyrażone słowami, lecz w podświadomości nurtujące poczucie wielu ludzi w stosunku do zagadnień kultury umysłowej.

I to jest reakcja ludzi ze sobą szczerych. Ludzie bardziej dbający o swój fason wewnętrzny wzdychają ze smutkiem: jakież to piękne i ciekawe rzeczy, ale cóż? czyż mam czas i możność tymi sprawami się zajmować? Jestem zaharowany i przemęczony. Ale jeżeli tak całkiem obiektywnie w te zaharowane życia spojrzymy, zobaczymy, że (oczywiście poza pewnymi wyjątkami) w tych po brzegi pełnych życiach jest jeszcze dość czasu na cały szereg zajęć ubocznych i rozmaitych rozrywek. Jeżeli nie ma miejsca na zajęcia umysłowe, na umysłowe rozrywki, to w gruncie rzeczy dlatego, że nie ma dla nich dość szczerych i prawdziwych zainteresowań. Że te właśnie rozrywki i zainteresowania nie są „dość potrzebne i dość konieczne". I nie może być inaczej. Przysłowie, że apetyt przychodzi z jedzeniem nie sprawdza się w żadnej dziedzinie z taką ścisłością, jak właśnie w dziedzinie zainteresowań umysłowych, intelektualnych. Człowiek, który pierwszy raz w życiu idzie do teatru, może być przedstawieniem olśniony, nie jest teatrem i jego zagadnieniami zainteresowany. I dopiero człowiek często do teatru chodzący zaczyna do niego nabierać gustu, a nabiera go razem z pewnym znawstwem. I dopiero, gdy może sobie urobić własne zdanie, oparte na porównaniu o grze aktorów, o sposobie wystawy, metodach reżyserowania i t. d., zaczyna się teatrem naprawdę interesować, coraz częściej ma ochotę do teatru chodzić, z czasem staje się to dla niego koniecznością i przymusem. I tak jest ze wszystkim. Człowiek, któryby po raz pierwszy czytał książkę historyczną, ruszałby ramionami, myśląc w głębi duszy, że są to sprawy obojętne i zwykłe zawracanie głowy. I dopiero człowiek z historią obznajmiony zaczyna w książkach historycznych smakować, zaczyna się nimi interesować i pasjonować. Dzieje się tak, gdyż człowiek nie może się naprawdę zajmować rzeczami i sprawami, w które nie może własną twórczą i krytyczną myślą wkraczać. I dopiero, gdy w jakiejś sprawie czuje się na siłach głos zabrać, z nią współżyć i współtworzyć, zaczyna się nią naprawdę interesować, dopiero wtedy staje mu się ona potrzebna i konieczna.

A jeżeli tak ma się rzecz z poszczególnymi dziedzinami zainteresowań, ma się w stopniu może jeszcze wyższym w stosunku do zainteresowań intelektualnych i umysłowych w ogóle. Aby się naprawdę zająć i przejąć sprawami i zagadnieniami olbrzymiego i zawiłego świata umysłowego, świata sztuki, nauki i idei, trzeba się weń wedrzeć, trzeba weń wejść z pewnym wysiłkiem. Ten wysiłek w zapracowanym, trudnym i pochłaniającym życiu ziemiańskim jest może większy niż w życiu inaczej zorganizowanym i innymi torami płynącym. Trzeba pewnego a nawet nieraz olbrzymiego wysiłku, aby z podwórza przeczucić się w renesansowe dziedzińce, aby od spraw gminy i parafii przerzucić się w kręgi obejmujące sprawy ras i zagadnienia globu. Trzeba tu przezwyciężać nie tylko trudności zewnętrzne, jak tak dotkliwy na wsi brak książek, pism, styczności z wielkim ruchem umysłowym i artystycznym, trzeba przezwyciężać lenistwo i zmęczenie. Ale mam wrażenie, trzeba przezwyciężać przede wszystkim głębiej niż przypuszczamy zakorzenione poczucie zbędności tych zainteresowań.

Bo nie wątpię, że każda z pań po męczącym dniu pracy znajdzie jeszcze siły i nazwijmy — to męstwo, aby wieczorem zrobić rachunki, uporządkować regestra, zrobić zeznanie, o ile zajdzie tego potrzeba, ale nie wiem, czy znajdzie tę samą energię, aby zagłębić się w poważnej książce lub przedyskutować z otoczeniem jakieś zagadnienie estetyczne lub społeczne. A dzieje się tak, ponieważ wie i rozumie, że zeznania i regestry są konieczne, a zagadnienia estetyczne czy naukowe uważa w głębi duszy jeśli nie za zbędne to za zbytkowne, wysiłek w tym kierunku robiony uważa za rodzaj luksusu i może nawet ma skrupuły czy ona, zaharowana istota, ma prawo na taki zbytek sobie pozwolić. Jako rozrywka owszem, ale jako wysiłek właściwie dlaczego?

I tu, mam wrażenie, istnieje najgłębsze i zasadnicze nieporozumienie co do zagadnień t. zw. umysłowej kultury, umysłowego i intelektualnego życia. Oczywiście każdy człowiek myślący ma teoretyczne zrozumienie dla potrzeby wyższego poziomu intelektualnego i kulturalnego. Nie zdarzyło mi się spotkać pani, ziemianki (bo pod tym kątem na razie te rzeczy rozpatrujemy), któraby tego zrozumienia nie miała, któraby nie zrozumiała i nie przyznawała, że dwór musi być kulturalnym ośrodkiem, że dom, w którym jest młodzież, tej atmosfery potrzebuje, że ta atmosfera jest pod każdym względem korzystna, pożyteczna, potrzebna, przyjemna i t. d. Ale choć tak powszechnie spotyka się ludzi mających zrozumienie potrzeb kulturalnych niejako dla drugich, dla domu, otoczenia, dzieci i t. d. znacznie rza-

dziej spotyka się u ludzi, mających to zrozumienie... dla siebie.

Jest to dziwne ale prawdziwe. Niech panie przypomną sobie często słyszane i prowadzone na ten temat rozmowy: chciałabym mieć w domu więcej książek, pragnęłabym, aby rozmowy były bardziej interesujące, bo mam w domu dzieci, bo się zbiera młodzież, bo to byłoby tak zapobiegło wielu innym niepotrzebnym rozmowom, bo to by dobrze wpływało na takiego lub innego. Ale jakżeż rzadko słyszy się: pragnęłabym mieć książki i pisma, bo mnie to pasjonuje, bo bez tego mnie jest duszno i ciasno i nieznośnie. I niech się panie rozglądną wokoło siebie: ileż pań domu, osób dobrej woli i trafnych pod tym względem zrozumień, robi wiele w tym kierunku wysiłków, i jak stosunkowo błahe są osiągnięte rezultaty...

Dlaczego? Bo u dna tych rzetelnych wysiłków do wytworzenia kulturalnej atmosfery domu brak rzeczy istotnej: własnych gorących w tym kierunku zainteresowań. Jeżeli pani domu chce, żeby jej domownicy mieli w bród truskawek, to musi na grządce te truskawki zasadzić i wypielęgnować, nie szczędząc pracy, umiejętności i wkładów w postaci nawozów, dobrych sadzonek i t. p. Jeżeli chce, żeby w domu dla drugich, dla dzieci, dla męża, dla otoczenia panowała atmosfera kulturalna, intelektualna, to nie ma innego sposobu, jak atmosferę tę wytworzyć w laboratorium własnym, we własnym umyśle i duszy. Na to nie ma rady, te rzeczy oszukać się nie dadzą. Jeżeli piękności Pana Tadeusza będą mi w gruncie rzeczy obojętne, będą obojętne i dla otoczenia, choćbym nie wiem jak pilnie wytwarzała na ten temat akademickie dyskusje. Jeżeli natomiast właśnie wczoraj wieczorem wzruszyłam się do łez, odczytując „Wesele", jeżeli zapomniałam o świecie, słuchając symfonii Szymanowskiego, jeżeli naprawdę „flaki mi się wywracały" gdy czytałam rozpętaną dookoła książki Wasiutyńskiego o Koperniku dyskusję, to już nie potrzebuję się tak bardzo wysilać, nie potrzebuję się tak bardzo troszczyć o atmosferę, jaką zastaną w domu jutro w wakacje wracające dzieci. W sposób naturalny i prosty, a zatem jedynie skuteczny, wejdą w tę tak dla siebie korzystną i pożądaną atmosferę. W sposób zupełnie naturalny będą się spierać o Wyspiańskiego, bronić lub oburzać na Wasiutyńskiego. Te sprawy nie będą dla nich przedłużeniem zadań szkolnych, nudnych i suchych, będą, jak powinny być, ważną i konieczną cząstką ich życia.

Ale te rzeczy, powtarzam, nie dadzą się zrobić, nie dadzą się narzucić. Albo są naprawdę, albo ich nie ma i nie będzie. Powiedział gdzieś pięknie Papini, mówiąc o pracy apostolskiej, że ogień, który już płomieni nie nieci, sam prędko gaśnie i wymiera. I odwrotność tego pięknego powiedzenia jest prawdziwa. Nie zapalą się płomienie od ogniska martwego i spopielałego. Głody pragnienia i potrzeby, które nie są głodami, pragnieniami i potrzebami naszymi, nie dadzą się narzucić i zaszczepić innym.

I pójdźmy w to zagadnienie jeszcze głębiej: pragnienie dla swoich dzieci wysokiej kultury umysłowej, intelektualnych zainteresowań, wrażliwości artystycznej, przyjemności i wzruszeń, jakie daje sztuka, a rezygnowanie z nich dla siebie jest nie tylko nieskuteczne, ale jest nawet rodzajem zarozumiałości, jeśli nie pychy. Bo dlaczego tych rzeczy tak słusznie dla naszych dzieci pragniemy: rozumiemy doskonale, że te wszystkie rzeczy są elementem dodatnim, że w sposób bardzo szczęśliwy wypełniają pewną wewnętrzną pustkę i próżnię tak pod każdym względem niebezpieczną, że przyczyniają się do przezwyciężenia w człowieku materializmu i egoizmu, że dają pewną wewnętrzną ostoję, że są to konieczną dla równowagi kulką ołowianą u dna duszy, nie pozwalającej człowiekowi iść zbyt łatwo za „wolą wiatrów" i zmiennych prądów, rozumiemy przede wszystkim, że są wypełnieniem jednego z celów ludzkiego życia, „rozwoju wedle gatunku swego", że są zgodnym z myślą Bożą, pomnażaniem powierzonych nam talentów, że są wypełnieniem wspaniałego tomistycznego określenia „plus esse" więcej być, tego nakazu, który wkłada na nas obowiązek dać naszą pełną miarę pod każdym względem i na każdym polu, być jak najpełniej człowiekiem.

Ale jeżeli tak trafnie i słusznie rozumiemy obowiązek, potrzebę, pomoce i wysokie zadanie życia umysłowego, artystycznego i intelektualnego dla drugich, jakim prawem rezygnujemy z niego dla siebie, jeżeli jest potrzebne dla drugich, dlaczegoż jest zbędne dla nas? Jeśli inni bez niego obejść się nie mogą, jakżeż obywamy się sami? Czyż nam w życiu żadna pomoc, ostoja, środek równowagi, narzędzie rozwoju nie jest potrzebne? Czyż tylko drugich do zadań życiowych mamy wdrażać a siebie od ich wypełnienia usuwać? Czyż takie zesunięcie z siebie w imię życiowej rezygnacji jednego z wielkich obowiązków życia, obowiązku doskonalenia się na każdym polu, pod każdym względem, pełnego rozwoju swoich władz i możliwości, może dać dobre rezultaty w jakimkolwiek kierunku? Czyż u dna tego ciągle w rezygnację owijanego mniemania, że to wszystko dobre i potrzebne dla drugich a niepotrzebne dla nas, nie tkwi sui generis pycha, siostra lenistwa?

Dużo się dziś mówi o potrzebie, o konieczności kulturalnego dźwignięcia naszych dworów. O. Rostworowski na zjeździe w Częstochowie kładł na to nacisk specjalny, uważając to właśnie kulturalne i intelektualne podniesienie poziomu życia na wsi za jeden z najkonieczniejszych środków obronnych zagrożonego stanowiska polskiego ziemiaństwa. Jest to zapatrywanie zupełnie słuszne. Tylko jak to ma wyglądać? I kto to ma robić? Dla mnie nie ulega wątpliwości, że ma to robić kobieta, pani domu, matka i żona. Kobieta przez całe wieki historii ludzkości była, jak mó-

wią Niemcy, „die Trägerin" kulturalnych wartości, kulturalnej atmosfery. A jak ma robić? Też całkiem proste: być kulturalną, życiem intelektualnym, umysłowym, artystycznym zajmować się, przejmować, interesować, i to zupełnie nie dla celów społecznych, nie dla domu, nie dla męża, nie dla dzieci, ale dla siebie. Jeżeli nie będzie intelektualna i kulturalna dla siebie, nie będzie nią dla nikogo. Bo tak samo, jak nie będzie miał dodatniego wpływu religijnego człowiek, który sam religijny nie będzie, tak samo nie będzie miał wpływu katolickiego kulturalnego człowiek, który sam, sam dla siebie kulturalny nie będzie. A jeżeli prawdziwe jest francuskie przysłowie *charité bien comprise commence par soi même* — to jeszcze prawdziwszy jest aksjomat, że życie kulturalne dobrze pojęte zaczyna od kultury własnej. I dlatego myślę, że pierwszym i najważniejszym krokiem na drodze kulturalnego i umysłowego dźwignęcia naszego życia po dworach wiejskich jest ożywienie kulturalnych i intelektualnych zainteresowań umysłowego i artystycznego życia własnego.

Tak, kulturalni będziemy dla drugich, o ile kulturalni będziemy dla siebie. Mam wrażenie, że najważniejszą rzeczą jest wprowadzić w tę dziedzinę trochę zdrowego egoizmu. Altruistyczna obowiązkowość wydaje na tym polu jak najgorsze rezultaty. Wytwarza intelektualizm suchy, nudny, nieprzekonywujący, wytwarza nawet rodzaj intelektualizmu snobistycznego, to znaczy kulturę w najgorszym gatunku. Bo jeżeli kogoś muzyka nie bierze, to dużo lepiej, żeby na koncerty nie chodził, jeżeli go poezja nie wzrusza, lepiej żeby jej nie czytał. Tylko — tylko chodzi o to, żeby tu, dla siebie, dla własnej kultury, dla własnej przyjemności, zwyciężyć lenistwo, zwyciężyć warunki, zwyciężyć nawet czasem oszczędność i zbyt ciasno zrozumianą obowiązkowość. Żeby zrozumieć, że te rzeczy zbędne i niepotrzebne są naprawdę konieczne. Te apetyty i te potrzeby trzeba w sobie rozbudzić i kultywować.

Tak, tak smutno się kończy, jak każą osobom niepowołanym przemawiać na zebraniach Sodalicyjnych. Niech te zgubne aforyzmy, które wygłaszam, obarczą odpowiedzialność naszej prezydentki, ale skoro raz kazała mi mówić o życiu umysłowym i kulturalnym, nie mogę wygłosić innych, jak te, w które wierzę, a mianowicie, że żadna akcja tu nie pomoże, pomoże tylko osobiste rozbudzenie kulturalnych potrzeb i zainteresowań i to powtarzam, nie w drugich, lecz w nas samych, że pomoże tu pewien zdrowy pod tym względem egoizm, pomoże trochę lekkomyślności w szafowaniu pieniędzmi i czasem, że pomoże tu pewne lekkomyślne zapominanie o kłopotach i sprawach dnia, a zanurzanie się bez reszty i bez celów ubocznych w wielkich prądach i zagadnieniach, które nurtują świat. Ale nie widzę też innego sposobu przezwyciężenia tego pewnego smutku, złej rezygnacji, pesymizmu, jaki coraz częściej i coraz widoczniej wdziera się w nasze dwory. Jeżeli nie wprowadzimy w nie z głębi duszy własnej wysnutej radości, jaką daje zapamiętanie się w muzyce, poezji, czy pięknie kształtu plastycznego, jeżeli nie urozmaicimy jego monotonnego życia wielkimi, na własność zagarniętymi momentami historii, jeżeli nie rozedrgamy jego ciszy rozgwarem sporów i namiętności, które świat przebudowują — zginiemy razem z naszymi kłopotami i pracą. A tylko rzuciwszy się w wielki nurt życia umysłowego świata, możemy i nasze, tak bardzo niepewną falą miotane łupiny, wprowadzić na szerokie wody huczącego dookoła nas życia. Czy w nim wygramy, niewiadomo, ale nie będziemy mogli sobie powiedzieć, żeśmy zwyciężyć nie próbowali. A jedyną bramą w ten świat szeroki, groźny, niebezpieczny, ale jakżeż wspaniały i jak pełen obietnic, jest droga prowadząca poza drzwi domu i bramy ogrodu, przez własne i na własną rękę, dla własnej przyjemności i potrzeby uprawiane, rozwijane, pielęgnowane i kształtowane życie umysłowe, artystyczne i intelektualne.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Pracujmy w Akcji Katolickiej!

Od kilku już lat wdzięczna praca otwarła się dla Sodalisek-Ziemianek. Praca w Akcji Katolickiej! Nie powinno dzisiaj być zakątka w Polsce, gdzieby o Akcji Katolickiej nie słyszano i nie zawiązywano po wsiach katolickich Stowarzyszeń Kobiet, Mężów, Dziewcząt i Chłopców.

W wielu parafiach istnieją już karne szeregi katolików, związanych jednym statutem i jednym celem, i liczymy ich już w Polsce na setki tysięcy, ale niestety, cała ciężka praca złożona jest w wielu wypadkach tylko na barki X. X. Proboszczów i Katechetów, a inteligencja po wsiach przypatruje się tylko z uznaniem tej pracy, podczas gdy obowiązkiem naszym jest stać się czynnymi członkami A. K. i to na naczelnych stanowiskach.

W tej pięknej pracy dla Boga, bliźnich, no i dla nas samych... niech nie zabraknie Sodalisek. Dla nas samych w Akcji Katolickiej też pracujemy, bo zwalczamy w Katolickich Stowarzyszeniach komunizm, wyrabiamy honor, poczucie obywatelskie, miłość bliźniego, własnym przykładem uczymy zacierać różnice klasowe, a wiemy dobrze, że jest to broń, którą przeciw nam dzisiaj walczą.

My Ziemianki, tam, gdzie dotąd może nie miałyśmy sposobności zbliżyć się do ludu, wiążemy się przez A. K. serdecznym z nimi węzłem, stajemy się siostrami tych biednych matek i łączy-

my się w wspólnym wysiłku nad wychowaniem młodzieży, nad urabianiem się wewnętrznym, aby następnie świecić przykładem rodzinom, i po kilku latach mozolnej wprawdzie pracy, czasem zda się beznadziejnej, z radością widzimy sumienną pracę wśród członkiń A. K. i nawet szlachetną emulację, czy to w wychowaniu dzieci, czy w przestrzeganiu pięknych katolickich tradycji w rodzinach.

Zanim się wciągniemy do tej pracy, panuje naturalnie często w początkach wielki chaos, który zwykle trwa do roku, aż nie zaczniemy wygładzać i usuwać przyczyn złego. Zwykle przy zakładaniu Oddziału w parafii zapisują się członkinie, czy członkowie gromadnie, czasem kilkadziesiąt, czasem 200 i więcej. Taki Oddział nigdy sprawnie i czynnie nie będzie pracował. Najlepiej stworzyć Oddziały po 50 członkiń i trzymać się tej zasady. W dużych parafiach mogą być dwa i trzy oddziały jednego Stowarzyszenia, np. Kobiet czy Dziewcząt. Liczny Oddział nigdy regularnie nie chodzi na zebrania i nigdy nie płaci regularnie miesięcznych składek członkowskich. A jednak to jest rzecz wielkiej wagi. Członkini, która regularnie wpłaca składkę, czuje się naprawdę z Oddziałem związaną i Oddziałem się interesuje.

A więc pierwsza techniczna praca, to usuwanie członkiń, które kilka razy z rzędu opuściły zebranie, lub nie zapłaciły składki członkowskiej przez parę miesięcy. W ten sposób mamy już po roku Oddział złożony z samych czynnych i chętnych członkiń.

Pozostaje pytanie, jak rozłożyć pracę w Oddziale? Wskazówki daje Zarząd Stowarzyszenia. Otóż przede wszystkim wybieramy kierownictwo, złożone o ile możności nie z inteligencji, ale właśnie z pośród samych członkiń, czy to kobiet, czy dziewcząt. Kierownictwo ma co miesiąc zebranie przed zebraniem ogólnym. I tu rozpoczynamy w A. K. również pracę oświatową. Kobiety same piszą protokóły z zebrań — sekretarka z zebrania ogólnego, jej zastępczyni z posiedzeń kierownictwa. Skarbniczka prowadzi książkę kasową, jej zastępczyni pomaga w zbieraniu składek. W pierwszych miesiącach trud to dla nich niesłychany, zda się ponad siły! Książki wyglądają okropnie, pokreślone, poplamione. Protokóły humorystycznie wprost ujęte, ale zobaczmy te książki po roku, po dwóch!... Czysto i formalnie prowadzone, skrupulatnie, przy końcu roku nie ma pomyłki w książce kasowej, ani na grosz.

Z biegiem czasu skarbniczka z nieśmiałością przystępuje do prezeski i pokazuje zeszyt rachunkami zapisany. Są to jej rachunki domowe, bo nauczona w Oddziale notować dochody i rozchody, spróbowała i w własnym gospodarstwie to zaprowadzić. To samo jest z czytaniem. Program zebrania ogólnego wypełniają same członkinie przez czytanie referatów (często wygłaszają je na pamięć). Starają się, by to gładko wypadło, a więc ćwiczą się w głośnym czytaniu w domu.

Po kilku latach praca w Oddziałach postępuje już wybitnie naprzód, bo członkinie muszą same referaty układać. W tym celu schodzą się po kilka do domów, radzą i piszą, i zamiast czas tracić na obmowach, czy bajkach, spędzają go z wielkim pożytkiem dla siebie.

Po paroletniej pracy nad udoskonaleniem się wewnętrznym przystąpiły oddziały K. S. K. do pracy czynnej na zewnątrz. A więc młode matki pracują w „zastępach", do których wciągają kobiety z poza Stowarzyszenia i czytają książkę gen. Zamojskiej „O wychowaniu", kształcąc się na niej w wychowaniu młodzieży. Każde zebranie zastępu zakończone jest jakimś praktycznym postanowieniem, które potem sumiennie w życie wprowadzają.

Inne członkinie należą do „Caritasu". Biorą one w opiekę biednych, chorych lub nieszczęśliwych w parafii. I rzecz dziwna, te biedne kobiety, które zdawało by się, że same pomocy potrzebują, chętnie dorzucają swoje grosze dla jeszcze biedniejszych.

Jednym z najpiękniejszych czynów, praktykowanych w A. K. jest urządzanie „Dnia chorych". Staraniem Stowarzyszeń katolickich w parafii przywozi się do kościoła kaleki, starców długoletnią niemocą złożonych, biedaków, którzy dla braku odzienia latami całymi w kościele nie bywali, a na ten dzień odświętnie przybrani w pożyczone szaty, i tu wszyscy po spowiedzi przystępują z wielkim przejęciem, któremu towarzyszy wzruszenie wszystkich obecnych, do wspólnej Komunii św. Bywały nawet wypadki, gdzie za namową członkiń K. S. K. przystępowali w Dniu chorych do sakramentów św. grzesznicy, którzy po kilkanaście lat nie spowiadali się. Po skończonym nabożeństwie staraniem Kat. Stowarzyszeń urządza się wspólne śniadanie dla wszystkich chorych, a wtedy najbogatsze we wsi, nieraz bardzo dumne i chętnie wyróżniające się, wraz z paniami ze dworu usługują nędzarzom i chorym, a młodzież podczas tego śpiewa wesołe piosenki, wygłasza monologi, ku radości biednych nieszczęśliwych, i następuje to cudne zbratanie się dusz.

Piękna jest idea Akcji Katolickiej, ale niech nie zabraknie Sodalisek Ziemianek w jej szeregach. Nie zamykajmy się w ciasnym kółku Oddziału, li tylko w naszej parafii, ale idźmy dalej: przywódźmy okręgom, odwiedzajmy Oddziały po innych parafiach. Przyjmujmy obowiązki prelegentek, które mają za zadanie wygłaszać referaty w kilku oddziałach, w danym okręgu (dziekanacie). Staniemy się niezbędnymi tylu szeregom prostych kobiet lub dziewcząt, które przywiązują się do nas i które ośmielone serdecznym stosunkiem przychodzą się radzić do dworów w różnych sprawach rodzinnych, czy majątkowych, lub w poradach lekarskich.

A nade wszystko pamiętajmy, że cel Akcji Katolickiej jest wzniosły i wspaniały, że każdy trud poniesiony, to dla sprawy Bożej, i że obowiązkiem naszym ubiegać się o tę zasługę przed Bogiem, którą napewno hojnie nam wynagrodzi i pobłogosławi stanowi ziemiańskiemu i przyjdzie z pomocą w najtrudniejszej chwili.

I. R.
z sod. Krakowskiej.

Opieka Społeczna.

Zdarza mi się w ważnych chwilach mego życia, że mnie pytają o moje „generalia"…. Nazwisko? — Imię? — Wiek? — Miejsce urodzenia? — Imiona rodziców? — i t. p. wreszcie: „zawód?" — Ba! zawodów doznałam wiele w życiu... Nie o to chodzi, ale zawód? zajęcie? — Co powiedzieć? — Podaję tedy: „ziemianka". Nie zawsze i nie wszyscy rozumieją taki zawód, ale tak się wypisuje, i tak zostaje.

Zapominam prawie zawsze, że przecie jestem „osobą urzędową", że nie jestem byle kim, że noszę wysoką godność w hierarchii społecznej. Oto 1) jestem Radną Gromadzką, 2) jestem gromadzkim Opiekunem Społecznym, bo ustawa nie przewiduje nazwy: Opiekunka Społeczna. Mam urzędową legitymację, z pieczęcią urzędu Gminnego, wprawdzie na nazwisko Antoniego Pomajdy, bo brakło formularza na wypisanie jej na moje własne nazwisko, ale to przecie nic nie szkodzi. Grunt, że jest legitymacja oficjalna, urzędowa. Przysługuje mi prawo przypinania sobie do klapy „marynarki" odznaki (nie odznaczenia) z pelikanem, karmiącym pisklęta z napisem: **Opiekun Społeczny.** We własnej wsi i gminie noszenie tej zaszczytnej odznaki jest dla mnie zbędnym, gdyż mnie tu znają wszyscy bez wyjątku, do najmniejszego dziecka. Dzieci na drodze na mój widok wołają: Pani dziedziczka idą! Niestety nie są pouczone o moim urzędowym tytule Opiekuna Społecznego. Mimo to, gdy tylko co się stanie, czy komu czego potrzeba, — w te pędy do mnie...

Niejednemu może się zdawać, że urząd mój jest próżną formalnością, i że przecie każda ziemianka, bez jakichkolwiek legitymacyj spełnia opiekuńczą rolę w swoim środowisku, w swojej wsi, a nawet okolicy. Istotnie tak było od wieków i tak pozostało dotychczas. Niemniej jednak, osoba prywatna nie może dokonać wielu rzeczy, które z łatwością przychodzą czynnikowi urzędowemu, uprawnionemu do wezwania na pomoc władz najwyższych, bo samego p. sołtysa, oraz Policji państwowej. Władze są obowiązane do tej pomocy.

Przytoczę parę zdarzeń, które wykazały, że prywatnie byłabym niczego nie dokonała. Naprzykład: Na zebraniu K. S. K., dowiedziałam się, że daleko pod lasem mieszka staruszka, Polka, która już 10 lat się nie spowiadała, chociaż bardzo tego pragnie, bo rodzina nie dopuszcza księdza do domu. Zaprosiłam tedy jedną z kobiet na świadka i poszłyśmy na zwiady. Błoto było nieprawdopodobne, ślisko okropnie. Z wielkim trudem wydrapałyśmy się pod górę do tej tajemniczej chałupki. Zastałyśmy starowinkę, siedzącą na łóżku, z nogami owiniętymi w jakieś szmaty. Ręce najokropniej spuchnięte i zniekształcone. Najwidoczniej reumatyzm stawowy, deformujący. Biedactwo wcale chodzić nie może. Opowiada co ją boli, od kiedy, jak się zaczęło i t. p. ot zwyczajnie, jak człowiek chory i cierpiący, szukający ulgi we współczuciu bliźniego. Już musi będzie ze 20 lat, że się tak męczę".

Tymczasem do izdebki wsunęła się córka jej, którą dawniej znałam, jako druchnę ze Stowarzyszenia Młodych Polek. Wystąpiła od kilku lat i nie pokazywała się wcale, mówiono, że zdziczała. Teraz ma wyraz twarzy wprost wściekły. Kiedy wspomniałam o spowiedzi św. staruszka ucieszyła się ogromnie i objawiła gorące pragnienie, by jej ułatwić przystąpienie do Sakramentów św. Ksiądz tu przyjść nie może, a ona nie ma śmiałości prosić nikogo...

Bomba pękła! Hela rzuciła się do mnie, jak pantera: „Poco pani dziedziczka tu przyszła? Jakim prawem do mego domu?" — Takim prawem, że jako opiekunce społecznej wolno mi wchodzić do każdej chałupy o każdej porze dnia i nocy". — „Czego pani ode mnie chce? Ja tu księdza nijakiego nie wpuszczę, mnie tu księdza nie potrzeba, a jeżeli przez gwałt tu ksiądz się wpakuje, to go wyrzucę, albo pójdę het i nigdy nie wrócę". Tłumaczyłam jej jak mogłam, moja towarzyszka również, ale wszystko na nic. Nigdy nie widziałam istoty ludzkiej w podobnej furii. Odniosłam wrażenie, że widzę po raz pierwszy w życiu opętaną przez złego ducha. Powiedziałam jej, że mi się zdaje, że ją szatan opętał. Krzyczała coraz głośniej i wyzywała nas coraz gwałtowniej. Nie było rady. Musiałam wyjść. Staruszka zalewała się łzami, wystraszona w najwyższym stopniu, dając oczyma znaki, że jest wobec tej miłej córuchny najzupełniej bezradna i zdana na jej łaskę i niełaskę, no, i że nie ma nic do zrobienia. Kiedy opowiedziałam to wszystko księdzu, ów bał się wybrać do tego domu, aby nie narazić sukni duchownej na zbezczeszczenie. Słowem straciłam wszelką nadzieję, a wszakże staruszka mogła umrzeć bez Sakramentów świętych... Czyż wtedy nie miałabym jej na sumieniu całe życie? Nie, jakoś musi się to załatwić. Od czegóż sołtys?

Moja towarzyszka odegrała z powodzeniem rolę głośnika - powielacza. Natychmiast cała wieś

była powiadomiona o całym zajściu. Omawiano je szczegółowo i zastanawiano się, jak może być, aby panią dziedziczkę śmiał ktoś w ten sposób obrazić. Po paru dniach zjawił się u mnie Sołtys i oświadczył, że był u ojca tej Heli i nastraszył go, że zrobi doniesienie do Starostwa na całą rodzinę, że obrazili w urzędowaniu osobę urzędową i że jeżeli nie przeproszą, to będą ukarani administracyjnie. Hela ma przyjść mnie przeprosić i dopuścić księdza do matki. Po tej rozmowie w małą chwilę wrócił Sołtys, ale w towarzystwie ojca tej piekielnicy, który podówczas był nieobecny w chałupie, gdy się te sceny odbywały. Ojciec ów jął mnie przepraszać i obiecywać, zaklinać się i znowu obiecywać wszystko, byle tylko nie robiono na niego, ani na córkę, doniesienia do Starostwa. On sam dopilnuje, żeby ksiądz był dobrze przyjęty, a córkę na ten czas wygoni z chałupy, żeby nie obraziła księdza jakim marnym słowem.... — Wspaniałomyślnie przebaczyłam pod warunkiem, że ksiądz będzie przyjęty w należny mu sposób, że ja konie po niego poślę w następną niedzielę. Chłop obiecał i dotrzymał słowa. On Rusin, żona Polka. Posłałam konie, ksiądz przyjechał i udzielił biedaczce Sakramentów św., co ją bardzo uszczęśliwiło.

Oto korzyść z mego odpowiedzialnego stanowiska i wysokiego urzędu!

* * *

Innym razem urządzałam rekolekcje zamknięte dla dorosłych chłopaków w Przemyślu i chciałam dołączyć miejscowych łobuzów do tamtych przemyskich pokutników. Propaganda we wsi jakoś nie przynosiła rezultatów, więc do kogóż się udać, jak nie do „władzy“?

Pokazałam sołtysowi instrukcję dla Opiekuna Społecznego, która głosi, że tenże ma obowiązek czuwania nad religijnym wychowaniem młodzieży, więc koniecznością jest wysłanie chłopaków na rekolekcje. Jedynie on, sołtys może sprawić, żeby chłopacy wzięli udział w tych ćwiczeniach duchownych. Dygnitarz wziął instrukcję do serca. Chłopacy zostali przez gońca zaproszeni do p. sołtysa i ów im nakazał, żeby wszyscy, w liczbie kilkunastu, stawili się w oznaczonym czasie i miejscu. Mowa ta musiała być przekonywująca, poparta argumentem podniesionej prawicy, przypominającej maczugę Herkulesa. Snać niejeden znał już argument tej prawicy, gdyż protestów nie było, wszyscy punktualnie zjawili się i przykładnie odprawili rekolekcje, z tym skutkiem, że na jakiś dłuższy czas złodziejaszkowie przestali kraść, niektórzy nawet zupełnie się poprawili.

Oto, co znaczy urząd Opiekuna Społecznego!

* * *

Albo taki wypadek: Staruszka babka, za życia zapisała, czy przepisała swój majątek na wnuka z tym serwitutem, że ją będzie utrzymywał do śmierci i dobrze żywił, leczył i t. p. Dalszy ciąg wszystkim wiadomy. Każdy z największą łatwością w swojej wyobraźni odtworzy sobie, w jak serdeczny i czuły sposób, ta poczciwa babcia była traktowana przez kochającego wnuka i jego małżonkę! Prawie każdego dnia przychodziła do mnie się użalać na głód, na okropne wyzwiska, którymi ją darzą spadkobiercy, na ciągłe życzenia śmierci i t. p. serdeczności. Ponieważ moja interwencja u spadkobierców nic nie pomagała, więc zabrałam babcię do sędziego opiekuńczego powiatowego. Wysłuchał babcię i mnie polecił zwołać, za pośrednictwem Sołtysa, Radę Sierocą gromadzką, aby uradzić, co dalej robić. Sołtys zaprosił trzech chłopów, należących do tej Rady, oraz obie skłócone strony. Radziliśmy, sądziliśmy i godziliśmy zwaśnione strony przez pięć godzin. Nareszcie napisaliśmy rodzaj kontraktu, który podpisała babka i wnuk. Kazaliśmy wnukowi staruszkę pocałować w rękę i przeprosić. Wykonaliśmy naszą czynność w sposób poważny i obowiązujący.

* * *

Kiedy indziej znowu, gdy panował koklusz wśród dzieci, a powiadomiony inspektor szkolny nie kazał przerwać nauki w szkole, — na mocy moich uprawnień, sprowadziłam lekarza powiatowego, bo jako Opiekun Społeczny mam obowiązek czuwania nad hygieną wsi.

Gdy żydówki, mieszkające we wsi siały zgorszenie publiczne, doniosłam o tym do Starostwa i awantury zostały zlikwidowane.

Rozumie się, że największa liczba moich spraw, to pomoc ubogim i opuszczonym. Na to niestety nie otrzymuję żadnych funduszów, bo gmina sama nimi dysponuje, ale podaję do gminy potrzeby konieczne i często jakieś małe zapomogi moi protegowani otrzymują.

Podobno na zebraniu wójtów z powiatu, p. Starosta miał powiedzieć, że ze wszystkich opiekunów w jego powiecie... ja mam być najlepszym opiekunem? Nie wiem, zapewne to jego uprzejmość dla mnie, bo z powodu bardzo wielkiego przeciążenia wszelką robotą, nie mogę ani w setnej części zrobić tego, co bym chciała i co by było potrzebne. Uważam, że nie należał mi się złoty Krzyż Zasługi, który otrzymałam, ale może zaledwie jakiś blaszany, czy gliniany. Czyż bowiem jest podobieństwo dać pomoc wszędzie tam, gdzie jej potrzeba? Tyle jest tych potrzeb i moralnych i materialnych i sanitarnych i gospodarczych.... Jak poradzić na wszystko?

Sanitarnym potrzebom przyszedł w pomoc Polski Czerwony Krzyż, którego Koło też założyłam. Dzieci otrzymały sporo tranu ubiegłej zimy i znacznie się poprawiły na wyglądzie, gdyż dostały i dożywianie w szkole.

Nie mając możności wyszczególnienia wszystkich ustaw i paragrafów, odnoszących się do Opieki Społecznej, podałam jedynie korzyści, płynące z piastowania urzędu Opiekuna Społecznego. Niedawno w Ziemiance Polskiej był drukowany mój artykulik, ujmujący w inny sposób posłannictwo Opiekuna Społecznego. Ponie-

waż szanowne Czytelniczki Dworu Maryi również czytują i Ziemiankę, więc nie chciałam się powtarzać i dziś podałam tylko moje przeżycia i doświadczenia. Dodam jeszcze, że w Lwowskim Związku Ziemianek zapadła uchwała, że każda ziemianka jest obowiązana starać się o uzyskanie w swojej Gromadzie urzędu Opiekuna Społecznego. Gdy tylko jakie miejsce w radzie gromadzkiej zawakuje, powinna wejść na to miejsce i objąć opiekę społeczną. Dotychczas bowiem jest ona w rękach najzupełniej nieodpowiednich i wcale prawie o sobie znaku życia nie daje.

Niemożliwym jest wymieniać wszystkich wypadków, w których interweniowałam. Podałam tylko kilka, wyjętych na chybił trafił z pamięci, bo nawet nie mam czasu zapisywać wszystkiego, co by czynić należało i należy. Otóż proszę inne Panie Opiekunki, by sumienniej ode mnie prowadziły statystykę swoich prac opiekuńczych.

Kto by pragnął zasięgnąć bliższych informacyj, niech się zwróci do Starostwa, gdzie otrzyma instrukcję dla Opiekuna Społ. i przeczyta sobie ustawę o Opiece Społecznej.

Ustawa jest obszerna i bardzo postępowa, ale dotychczas niestety nie jest wykonywana. Od społeczeństwa zależy, aby istotnie martwą literę wprowadzić w życie. Jeżeli nasi panowie nie mogą się zająć tą ważną sprawą, to panie powinny ich zastąpić. Nawet czynności związane z opieką społeczną, odpowiedniejsze są dla kobiet, niż dla mężczyzn. Ta urzędowa opieka, owiana duchem miłości, stanie się prawdziwym apostolstwem, murem obronnym przeciwko komunizmowi, najlepszą propagandą dla nas, ziemiaństwa, tak chętnie powoływanego wszędzie, gdzie jest do zrobienia jakaś trudna i odpowiedzialna praca. Do pomocy i współpracy możemy powoływać katoliczki, lub członkinie Kół Gospodyń. Wykonają one wtedy program społeczny, którego nie potrzeba szukać w uczonych okólnikach od Central rozmaitych, w każdej wsi jest dość materiału do wykonywania tego programu. Kobiety nawet bardzo chętnie współpracują, gdy im się podda myśli i sposoby działania.

Obawiam się, aby ta pogadanka nie stała się zbyt tasiemcowa, więc kończę ją, życzeniem, ażeby Panie Sodaliski wszędzie objęły po wsiach Opiekę Społeczną. Będzie to ważnym krokiem naprzód w budowaniu Królestwa Chrystusowego w Polsce.

* * *

Kiedy już jestem przy głosie, to pragnę sprostować pewną pomyłkę druku w moim poprzednim sprawozdaniu z rekolekcyj zamkniętych dla chłopców - gospodarzy w Przemyślu, pod tytułem: „Pierwsza próba z Belloną". Otóż tych penitentów było stu dwudziestu pięciu... Nie pochodzili z Akcji Katolickiej, ale przeciwnie z Kółek Rolniczych, albo byli przysłani przez panie ziemianki, między nimi było sporo ze służby folwarcznej, dużo radykałów i ludowców z różnych partyj.

Następne rekolekcje dla chłopaków wypadły w pierwszych dniach stycznia, bo później już koszary były niedostępne. Z tego powodu, że początek karnawału i silne mrozy, nie dopisali, i chłopaków miałam tylko dwudziestu pięciu. Brakło mi tylko stu. Ale i za to niech będą Bogu dzięki, bo urządzone przedtem rekolekcje dla chłopców z Akcji Katol. w Przemyślu, odbyły się przy udziale trzynastu uczestników.

W każdym razie razem z chłopami, było ojców i synów stu pięćdziesięciu. Sto pięćdziesiąt dusz — to już coś znaczy.

Tylko koniec z koszarami, bo zostaną obrócone na biura czy magazyny i znowu nie będzie gdzie gromadzić mężczyzn. No i nie będzie garnizonowej kuchni wojskowej, która mi tylu ludzi wyżywiła po 71 groszy dziennie od jednego uczestnika. Kto i gdzie tak tanio wyżywi?

Nie obejdzie się bez mojej ponownej wizyty u Pana Generała....

Może znajdzie jakie inne koszary?

W. Drużbacka.

Prałkowce, d. 26 kwietnia 1938 r.

Stańmy do szeregów „Związku Katolickich Radiosłuchaczy"!

Jak wielkim czynnikiem propagandowym, tak dobra jak zła — jest radio, wiemy wszyscy, nie potrzeba o tym przekonywać. A jak silną, przekonywującą i niebezpieczną może się stać propagandą, dowodem zręczne operowanie falami eteru u naszego wschodniego sąsiada.

Wszak Ojciec św. Pius XI. powiedział do przedstawicieli „La Bonne Presse": „Słowo samo przez się posiada siłę, ale słowo pomnożone w przestrzeni przez środki nowoczesnej techniki, — stanowi groźną potęgę".

Przed kilku laty Moderator Związku, O. J. Rostworowski zachęcał usilnie do popierania idei utworzenia katolickiej Stacji nadawczej. Niestety plan ten pozostał w krainie marzeń, a nawet, jak twierdzą niektórzy, uzbierane na ten cel fundusze znikome, kilkanaście tysięcy złotych, przeznaczono na akcję bezbożniczą. (Przegl. Kat. Nr 5, str. 67).

Nie można przypuszczać, że w najbliższej przyszłości da się zrealizować plan zbudowania własnej Stacji Radiowej, katolickiej, nie tylko

z powodu braku odpowiednich kapitałów, ale dla tej prostej przyczyny, że z zupełnie zrozumiałych względów, we wszystkich krajach europejskich Radio jest zmonopolizowane, w rękach rządów. Natomiast zrozumieli katolicy we wszystkich krajach, iż nie mogą wypuścić z rąk swych wpływu na ukształtowanie się programów radiowych.

Pomni na sławne powiedzenie prymasa Belgii, kardynała van Roey'a: „Jeżeli budowa nowych czasów dokona się bez katolików, dokona się przeciw nim", — utworzyli Związki katolickich radiosłuchaczy, z międzynarodowym katolickim biurem radiofonii w Amsterdamie na czele. Przed rokiem zaś powstał w Krakowie (centrala: ul. Kanonicza 14), „Polski Związek Katolickich Radiosłuchaczy", posiadający statuty, legalizowane przez władze duchowne i świeckie, a otrzymawszy błogosławieństwo Najdostojniejszego Episkopatu polskiego, zorganizował oddziały okręgowe, których zasięg pokrywa się z terenem diecezji, tak, jak diecezjalne Instytuty Akcji Katolickiej, z którymi współpracuje.

Trudno mi szerzej omawiać organizację Związku Katolickich Radiosłuchaczy w krótkiej odezwie, którą z powodu ograniczonego miejsca muszę zredukować do minimum. Z tego powodu odsyłam łaskawe Czytelniczki do dwóch artykułów w „Przeglądzie Katolickim" Nr 3 i Nr 5 b. r., oraz do broszurki „Katolicy a Radio" A. Gocławskiego, Poznań, wyd. Nacz. Inst. A. K.), które dadzą im zwięzłe, lecz niezmiernie zajmujące szczegóły o organizacji katolickiej radiofonii zagranicą i o Związku Katol.-Radiosłuchaczy w Polsce, oraz o potrzebie celowej pracy w tym kierunku.

Przytoczę jeszcze tylko kilka zdań dyrektora watykańskiej Stacji radiowej, ks. Filipa Laccorsi'ego T. J. („La radio e i Cattolici), dające wskazówki praktyczne:

W łonie każdej rodziny rodzice katoliccy obowiązani są czuwać nad jakością i wyborem audycji, przesyłając w tym względzie swoje uwagi i żądania do radio centrali, za pośrednictwem Zw. Kat. Radiosłuchaczy. W stowarzyszeniach katolickich powinno być urabiane sumienie radiosłuchaczy przez pouczanie, jakie audycje należy uważać za dozwolone i jak należy korzystać z radia, aby uzyskać pod względem kulturalnym i duchowym najlepsze rezultaty. Przy tym należy zauważyć, że jednym z niebezpieczeństw radiofonii, na które za mało zwraca się uwagi, jest chaotyczność i lekkomyślność w doborze audycji. Wrażenia i poglądy, płynące na falach eteru, o ile nie następują po sobie w odpowiedni sposób, wytwarzają w duszy słuchacza powierzchowność i chaos. Ze stanowiska więc dobra duchowego kontrola audycji powinna iść w dwóch kierunkach: a) przez wyłączenie wszystkiego, co jest niemoralne, b) przez takie uporządkowanie audycji, aby te przyczyniały się do usystematyzowania i pogłębienia katolickiego światopoglądu, nie wytwarzania chaosu".

Powyższe wywody wskazują nam, w jakim kierunku możemy przede wszystkim rozwinąć naszą działalność. Poza propagandą radiofonii kulturalnej i pożytecznej w jak najszerszym zakresie, pomne zasady: do ut des — propaganda radiowa ze strony katolickich radiosłuchaczy zyska przychylność władz radiowych, — należało by rozwinąć to, co tak skutecznie uczyniono we Francji, „service d'écoute", polegające na tym, że osoby mające więcej czasu poświęcają swą uwagę różnym audycjom, w ten sposób, że cały program poddany jest ścisłej kontroli, a uwagi i dezyderaty skierowywane do Zarządu danego oddziału zrzeszenia.

Niewątpliwie w każdej naszej sodalicji znajdzie się kilka osób dysponujących nieco wolnym czasem, który mógłby być oddany bez wielkiego trudu tak pożytecznej działalności, co też będzie przyczynkiem do ożywienia pracy w naszych sekcjach propagandowych, w ramach których ta działalność znaleźć może miejsce.

Wszak nie jesteśmy kongregacją mającą tylko za zadanie urobienie wewnętrzne, lecz mamy być apostołkami A. K. Wszak Ojciec św., Pius XI., wyraził się bardzo znamiennie: „żaden trud nie może być zbyt wielki, ni zbyt ciężki, jeśli chodzi o apostolat tej rozpiętości, którego znaczenie w społeczeństwie z każdym dniem się rozszerza, pogłębia i wzmacnia... jest to wspaniałe i klasyczne pole działania dla Akcji Katolickiej". — (Pius XI. do członków Międzyn. Biura Radiofonii).

Działalność nasza promieniować może szeroko, gdyż rozsiane jesteśmy po całym kraju; działać możemy czynnie, a także propagandowo, zyskując coraz to nowych członków nie tylko wśród radioabonentów, ale i radiosłuchaczy. Nie obciąży to zbytnio naszych budżetów, gdyż składka roczna wynosi tylko 1 złoty! A o grę wielką tu chodzi, bo o milion członków — to milion złotych, to siła! Stańmy więc wszystkie bez ociągania się do szeregów w Związku Katolickich Radiosłuchaczy!

I. L.
z sodal. białaczowskiej.

Życie duszy.

„Ponieważ celem sodalicji jest torowanie drogi przez Maryję do Jezusa, więc pierwszorzędnym obowiązkiem każdego sodalisa jest praca nad doskonaleniem swego stanu duchowego, wewnętrznego, i dążenie do zjednoczenia dusz w Bogu".

To przypomnienie ustaw naszych przez O. Moderatora, dało mi wiele do myślenia, rozważałam je wszechstronnie, rozbierałam szczegółowo, i pragnę podzielić się z siostrami - sodaliskami wynikiem tych dosyć szeroko zakreślonych rozważań.

Życie duszy — to słodkie życie. Najpożyteczniejsze zajęcie, jakie być może, to zajmować się swą duszą, budzić ją i wzmacniać. Zajęcie to nie zgotuje nigdy zawodu, a codzień nowe przynosi radości i zowie się życiem wewnętrznym.

Nie pierwszy to raz na łamach „Dworu Maryi" o życiu tym się wspomina, a jednak wiele stron jego da się jeszcze gruntowniej oświetlić, głębiej zbadać, a przez to lepiej poznać, zrozumieć.

Nie wyobrażajmy sobie, że życie wewnętrzne jest niezgodne z wymaganiami życia rodzinnego i towarzyskiego, któremu nieraz tyle myśli i czasu poświęcić trzeba. Tak, jak fizyczne życie, polegające na nieustannym obiegu krwi, nie przeszkadza zewnętrznym zajęciom, tak i wewnętrzne, polegające na ciągłym pamiętaniu o Bogu, w niczym nie przeszkadza, ale przeciwnie, pomaga pełnić je spokojniej i doskonalej. Uczy ono uważać serce za świątynię, którą zamieszkuje Bóg, i wobec tego Boga dusza rozważa, mówi, działa i spełnia swe obowiązki.

Na ogół ludzie są bardzo uprzedzeni do życia wewnętrznego. Jedni widzą w nim niewolę, ofiarę, przymus, inni gardzą nim, jako zbiorem drobnych praktyk, krępujących umysł, odpowiednich dla osób niekulturalnych. Tymczasem życie wewnętrzne, to takie, o jakim św. Paweł mówi: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus". Chrystus bowiem jest tam Mistrzem, doradcą, przewodnikiem i siłą. Do Niego zwraca się dusza ze słowami: „Mam Ciebie, Boże, czegóż mi więcej potrzeba". I w takim zjednoczeniu w i d z i Boga, s ł u c h a Go, r o z m a w i a z Nim, m y ś l i o Nim i k o c h a Go.

Widzieć Boga, jest to wystawiać sobie, że jest przy nas, jako nierozdzielny przyjaciel przy pracy, w modlitwie, na przechadzce i w spoczynku. Słuchać Boga, to pamiętać na Jego rozkazy, zakazy i rady, to rozważać św. Ewangelię, to zgadzać się z wolą Bożą. — Rozmawiać z Bogiem, to modlić się głównie sercem, choć nie ustami, modlić się aktami strzelistymi, rozmyślaniem codziennym, to powierzać Bogu swoje radości, przykrości, pragnienia, ofiary i intencje. — Myśleć o Bogu, to nie zapominać o Jego obecności w nas, odczuwać, że w Nim żyjemy, ruszamy się i jesteśmy, że On przebywa w nas niewidzialnie, a w niebie w chwale i majestacie. — Kochać Boga, to miłować Go ponad wszystko, dla Niego samego, a bliźnich w Nim i przez Niego. Pamiętajmy, że cała nauka Chrystusa opiera się na miłości i miłosierdziu, że nawet na sądzie ostatecznym głównie o uczynki płynące z miłosierdzia pytani będziemy. I dziwnie, że Chrystus, mówiąc o tych uczynkach, wymienia tylko uczynki co do ciała, a pomija do duszy się odnoszące. Powiada przecie wyraźnie: byłem głodny, spragniony, nagi... Kiedy to rozważamy przychodzi nam na myśl, że te właśnie uczynki najwięcej i najlepiej dowodzą miłości bliźniego, bo są widoczne, realne, gdy tamte, choć zapewne ważniejsze, mogą być nieraz tylko sentymentem romantycznym, zadowoleniem egoistycznym. Jeżeli je pełnią ludzie zamożni, to, niestety, działają też czasem z wyrachowania, ze skąpstwa, bo one nic nie kosztują, gdy pierwsze pociągają za sobą wydatki. Tymczasem bogatsi mają obowiązek pełnienia uczynków miłosiernych jednych i drugich, bo dla ubogich, a pragnących także służyć bliźnim i mieć zasługę, tylko moralne są dostępne.

Najlepiej uczy życia wewnętrznego i uprzystępnia je częste przystępowanie do Sakramentów św., codzienne przyjmowanie przynajmniej duchowej Komunii św., nienawiść grzechu, odrywanie się od wygód cielesnych, od pragnienia sławy i pochwał, unikanie próżniactwa. Hamuje zaś życie wewnętrzne zbytnie przywiązanie do ziemi i doczesności. Są bowiem ludzie, którzy zgodziliby się chętnie znosić tu wszelkie niepowodzenia i klęski z życiem ziemskim związane, byleby wiedzieli, że tu wiecznie żyć będą, a śmierci nie zaznają. I nigdy nie zatęskniliby do Boga, do oglądania Go twarzą w twarz w niebie. Przeciwnie, kto wewnętrznym żyje życiem, ten tak przywykł do stałego obcowania z Bogiem, że nie widząc Go na jawie, tęskni do Niego, czuje po prostu g ł ó d B o g a, i w Nim tylko widzi szczęście swoje, a poza Nim szczęścia nie uznaje. Tak też wielka św. Teresa mówi w pięknej swej glossie:

„Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę,
„Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
„Że mi ten ziemski grobową żałobą"...

Dalej, przeszkadza jeszcze życiu wewnętrznemu niepotrzebne rozważanie przeszłości, które chyba w połączeniu z żalem za popełnione winy jest w życiu wewnętrznym usprawiedliwione. Tak samo ponętne rojenia o szczęściu w doczesnej przyszłości są tu zawadą. A więc, o ile to świata tego dotyczy, o przeszłości zapomnieć, o przyszłości nie marzyć, bo najważniejszą dla duszy jest t e r a ź n i e j s z o ś ć, ten czas działania, ta chwila obecna do nas należąca, z pragnieniem postępowania zawsze według upodobania Bożego.

Niedobrze jest także niepokoić się ciągle dawnymi grzechami i lękać się, czy są odpuszczone, czy dobrze odbyte były dotychczasowe spowiedzi. Warto tu zaznaczyć, co mówi w tej kwestii O.

Mateo, ten wielki miłośnik Serca Jezusowego, twórca intronizacji. W pięknej swej książce, p. t. „Jezus, Król miłości", tak pisze: „Wy wszyscy, którzy nigdy nie jesteście zadowoleni ze swoich spowiedzi, którzy ustawicznie szperacie w grzechach już wyznanych, słuchajcie: Pewna bojaźliwa osoba sposobiła się do spowiedzi, spisywała swoje grzechy, wynajdując coraz to nowe, a wreszcie przystępuje do konfesjonału i poczyna czytać, dodając obfite szczegóły. Długo trwało wyznanie, a gdy skończyła, spowiednik pyta: „Czy to wszystko, córko?" Chyba tak, — odpowiada, lecz zaraz dodaje: jeszcze muszę wyznać to; — po chwili co innego, następnie znów coś, — a gdy umilkła: „Córko, czy jeszcze masz coś na sumieniu?" — Sądzę, że teraz już nic. — „O, tak, woła spowiednik, — zwłaszcza obrazę, jaką mi wyrządza twoja nieufność". — Zaniepokojona i zdezorientowana penitentka powstaje i zagląda do konfesjonału. Był pusty. To Jezus sam przyszedł, by ją pouczyć o ufnej miłości.

Dobrze jest niekiedy odbyć dłuższą spowiedź, ale w nieustannej żyć bojaźni, to uwłaczać Jezusowi, to wątpić o Jego charakterze Zbawcy.

Nie lękajmy się zatem zbytniej poufałości z Bogiem, On ją lubi, szuka jej, bo ona dowodzi, że Go uważamy za Ojca, brata, przyjaciela. Najlepiej przestawać z Bogiem, jak z własną rodziną, oddać Mu się całkowicie, nie troszcząc się o sprawy poboczne.

Ażeby umieć żyć życiem wewnętrznym, potrzeba do tego i woli własnej i łaski Boskiej, która z człowiekiem pracuje, dopomaga mu i w górę go podnosi. Bez tej łaski bowiem nic się dobrego dziać nie może. A kogoż to Pan Bóg najskwapliwiej, najhojniej łaską swą obdarza, jeśli nie wiernych rycerzy Maryi Niepokalanej, którzy się w sodalicji zrzeszyli? Toteż prosimy o tę łaskę, nie wolno nam lekceważyć życia wewnętrznego i nieufnie, lub krytycznie do niego się ustosunkować.

Z życiem wewnętrznym połączyć należy życie czynne, więc pełnienie obowiązków stanu i położenia. Uczą nas tego różne encykliki papieskie, zwłaszcza „Rerum Nowarum" i „Quadragesimo Anno", które znać i czytać potrzeba. One bowiem prowadzą do doskonałości chrześcijańskiej i ukazują najwyższy ideał, którym jest Bóg.

Życie wewnętrzne obejmuje wszystko, co dla duszy zbawienne, przypomina, że modlić winniśmy się za Ojczyznę, za Kościół święty o triumf jego, o dobrych, gorliwych kapłanów. A przy modlitwie pamiętać, że Chrystus nauczył nas modlitwy niesamolubnej, że odmawiając ją, mamy pomyśleć także o bliźnich, skoro wyraźnie powtarzać nam kazał: „Ojcze nasz", „chleba powszedniego daj n a m, (nie tylko „daj mi"), odpuść n a m n a s z e winy, i t. d. Przepiękna to, wzruszająca, ofiarna modlitwa!

Życie wewnętrzne to pełnia zadowolenia i szczęścia już tu na ziemi, a przedsmak nieba w zaświatach, gdzie według Pisma świętego: „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani się w sercu człowieka pomieści, co Bóg zgotował tym, którzy Go miłują".

T. R.
z sodalicji bydgoskiej.

Wspomnienie pośmiertne.

o ś. p. Marii z hr. Michałowskich Dembińskiej.

Zgon ś. p. Marii Ludwikowej Dembińskiej, zmarłej w Krakowie dn. 22. II. 1938 r. u SS. Felicjanek, gdzie zamieszkała u schyłku dni swoich, okrył żałobą całą sodalicję pań wiejskich ziemi Kieleckiej, której ta niepowszedniej miary osoba, była prezydentką przez lat 20, od początku założenia naszego stowarzyszenia dzieci Maryi. Opuszczając ten świat nie stanęła ona przed obliczem Pana z próżnymi rękoma, uniosła ze sobą zebrany w ciągu życia skarb ewangeliczny, którego ani złodziej nie ukradnie, ani rdza nie zniszczy, dusza jej przepełniona miłością Boga i bliźnich połączyła się ze swym Stwórcą, a nam zostawiła odchodząc wzór niewiasty prawdziwie chrześcijańskiej i bogobojnej. Bóg postawił Ją na stanowisku wybitnym ziemianki, pani domu i matki rodziny. Użyczonych sobie darów użyła mądrze i dobrze, nie zmarnowała żadnej z łask bożych, nie zakopała żadnego talentu. Blask jej cnót promieniował na całą okolicę, czcili ją wielcy i mali; ludziom nawet wyłącznie światowym imponowała jej bogobojność szczera, prosta, gorąca, bez śladu fałszu i pychy faryzeuszowskiej. Góry, gdzie zamieszkiwała jako szczęśliwa i kochająca małżonka, potem jako wdowa, słynęły daleko i szeroko, świeciły przykładem, pociągały gościnnością, kulturą duchową i umysłową. Wesołe i miłe były dla młodych, przyjazne i serdeczne dla sąsiadów, ofiarne na cele społeczne, hojne i dobroczynne dla ubogich i maluczkich. W dziejach tych stron odegrywały one przodującą pod względem towarzyskim i moralnym, wpływ ich był najdodatniejszy, znaczenie wielkie i przynoszące chlubę ziemiaństwu.

Ś. p. Marię Dembińską charakteryzowało najgłębsze miłosierdzie, nikt od niej nie odszedł bez wspomożenia i słowa pociechy, przez całe życie pełniła wobec bliźnich wszystkie uczynki miłosierne co do duszy i co do ciała. Dom jej stał zawsze otworem dla tych co potrzebowali oparcia; szczodrą była i dobrotliwą dla ludności wiejskiej, dla służby domowej i folwarcznej, dla wszystkich chorych, nędzarzy i upośledzonych, którzy tłumnie ciągnęli do Gór wiedząc, że nie będą odtrąceni. Razu jednego, jeszcze za jej młodych lat zachorował we wsi na ospę i umarł pewien chłopak, nikt nie ośmielał się go pielęgnować z obawy przed zarazą, ani wejść do izby, gdzie skonał, ona jedna go nie opuściła, oddała mu ostatnie posługi pośmiertne, obmyła ciało, ubrała i złożyła do trumny. U schyłku życia w Krakowie pomimo nadwątlonego już zdrowia, odwiedzała wciąż szpitale, umilając głośnym czytaniem smutne godziny chorych, dodając otuchy i nakłaniając do cierpliwości.

Głęboka i niezachwiana wiara cechowała ś. p. Marię Dembińską, zasady jej wprowadzała w życie bez kompromisów, naukę kościoła katolickiego wyznawała z żarliwością, przekonaniem, siłą niezłomną, bez wahania, bez zastrzeżeń; w długich godzinach poświęconych modlitwie czerpała odporność ducha, pociechę i osłodę. W chwilach szczęścia czy cierpienia zawsze zwracała się do Boga, dziękując mu za łaski, zgadzając się bez szemrania z wolą Ojca Niebieskiego.

Rekolekcje zamknięte, które przez szereg lat, odbywały się rok rocznie w Górach, zostawiły ich uczestnikom niezatarte wspomnienia. Wszystko się składało na nieprzeparty urok, którym tchnęły; serdeczność przyjęcia, nastrój skupiony i podniosły, elokwencja ojca moderatora, kaplica urządzona w samym domu i cudnie przystrojona kwiatami, wreszcie piękno i poezja parku i starego dworu, tego gniazda najlepszych i najszlachetniejszych tradycji. Chwile wolne od nauk można było spędzać na czytaniu książek treści religijnej doskonałego wyboru, lub rozmyślać spacerując wśród kwietników i drzew rozłożystych. W dyskusjach toczących się podczas ogólnego posiedzenia Dzieci Maryi, poruszane były najgłębsze i najżywotniejsze problematy. Na te rekolekcje dążyły jak na ucztę duchową nie tylko sodaliski ziemi kieleckiej, lecz i panie zaproszane z dalszych stron, zachęciły one niejedną osobę do wstąpienia w szeregi mariańskie. Świątobliwość samej prezydentki wielce się przyczyniała do wytworzenia tych wyjątkowych warunków. Gdy ją wybrano na przewodniczącą nowo założonej sodalicji kieleckiej nie chciała początkowo przyjąć tej godności, skromna i nieśmiała sądziła, że nie sprosta zadaniu, lecz z czasem przemogła tę wrodzoną sobie nieśmiałość i stała się doskonałą kierowniczką. Dostępna była dla każdej z sodalisek, brała żywy udział w ich sprawach, pociągała słodyczą, współczuła w troskach, smutkach i chorobach, cieszyła się z pomyślności, nie szczędziła czasu i trudu na rozmowy i korespondencję, dla siebie była surowa i wymagająca, dla drugich wyrozumiała i pobłażliwa. Pobożność jej łagodna, pokorna, pełna pogody nic nie miała w sobie odpychającego, przeciwnie przygarniała, krzepiła, dodawała otuchy. Sodaliski objęte wszystkie bez wyjątku życzliwością swej prezydentki, tworzyły jakby rodzinę zespoloną ściśle duchowo. Za przykład służyć może jej stosunek do nauczycielstwa ludowego, odnosiła się doń nadzwyczaj przychylnie, w obcowaniu wkładała zwykłą sobie gorliwość i serdeczność; urządzała w Górach dla nauczycieli i nauczycielek zebrania i rekolekcje, w których zawsze sama uczestniczyła, wpływ jej był bardzo dodatni i zyskała sobie w tym środowisku wielki szacunek i uznanie.

Ojciec Święty oceniając jej zasługi na polu religijnym i społecznym zaszczycił ją orderem Pro Eclesia et Pontifice, a wręczenie tego papieskiego odznaczenia odbyło się w Górach bardzo uroczyście. Lecz cześć i podziw, które wzbudzała nie zmniejszyły nigdy jej pokory i skromnego mniemania o sobie.

Duch Boży, którym była ogarnięta, panował w każdej dziedzinie i okoliczności jej życia, wszystko czerpała od Boga, i wszystko odnosiła, i stąd zapewne wypływała wielkość jej cnót, niepospolitość indywidualności. Przynależność do Sodalicji nie była u niej czczą formalnością, ukochała ją pełną żarliwością serca swego i całą duszę wkładała w swe obowiązki Dziecka Maryi. Do Najświętszej Panny miała gorące nabożeństwo, specjalnie umiłowała Magnificat, powtarzając z odczuciem i wiarą słowa jej natchnionego hymnu. „Wielbij dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim“.

W ostatnim roku życia zrzekła się stanowiska prezydentki, słabnące siły nie pozwalały jej na czynną pracę, lecz serce nie ostygło w zapale. Bóg powołał do chwały wiecznej swą wierną służebnicę; tym którzy ją opłakują, pozostała nadzieja, że zyskali orędowniczkę w niebie, a pamięć o niej niech będzie bodźcem w dążeniu do doskonałości.

Sodaliska.

Wrażenia z pielgrzymki na kanonizację św. Andrzeja Boboli.

Otrzymaliśmy luźne wrażenia uczestniczek pielgrzymki do Rzymu, które poniżej zamieszczamy.

Dokładne sprawozdanie z tegorocznych uroczystości w Rzymie, w dzień Wielkanocy, podały gazety całego świata katolickiego. Znają je z pewnością wszystkie nasze czytelniczki. Ja również czytałam skwapliwie wszelkie dostępne mi, tak interesujące opisy, zarówno polskiej pielgrzymki, jak samego przebiegu kanonizacji i pobytu w „wiecznym mieście“, a jednak jeszcze mi czegoś w nich brakowało. I zdaję sobie z tego sprawę, że jest to całkiem naturalne uczucie u każdego, kto miał szczęście bezpośrednio przeżyć te wrażenia, jako uczestnik wielkanocnej pielgrzymki na kanonizację świętego naszego Patrona.

Była to prawdziwa łaska! Bo pomyśleć, że postać świętego Andrzeja szczególnie jest związana z losami naszej Ojczyzny, że On ma być jej osobliwym opiekunem i orędownikiem u Boga! Toteż nic nie odda tego wzruszenia, jakie drżało w pieśni „Boże coś Polskę“, rozbrzmiewającej w bazylice św. Piotra, tej prośby, zanoszonej od stóp grobowca księcia Apostołów do stóp tronu Bożego. Czuliśmy się tam wszyscy „dziećmi w domu Ojca swego“, jak pięknie powiedział Ojciec święty podczas audiencji, ale czuliśmy się ponadto dziećmi w ten dzień wyróżniony przez Niego, obsypanymi ojcowską Jego pieszczotą.

Ten, który możny jest i święte imię Jego, uczynił nam wielkie rzeczy. On sprawił, że zwłoki św. Andrzeja ukryły się bezpiecznie w centrum chrześcijańskiego świata, On opromienił je chwałą, On je powróci w chwale na Ojczyzny łono, by odtąd jeszcze więcej i hojniej łask posypało się za ich przyczyną.

Więc naprawdę mogliśmy śpiewać, z serca pełnego wdzięczności, pieśń drugą: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, dodając do radości ze Zmartwychwstania Pańskiego radość z wyniesienia na ołtarze świętego Męczennika. Zajaśniała nam w całej pełni moc Boża, która łaknących napełnia dobrami i łączy najwyższą chwałę z najgłębszym uniżeniem.

Zapatrzeni, zasłuchani, staliśmy w czasie uroczystego aktu kanonizacji, zbierając w sobie światło i łaski Boże, z postanowieniem, by stanąć na ich wezwanie, by dalej budować dzieło Boże w Ojczyźnie.

Jednym z najsilniejszych wrażeń pielgrzymki był Wielki Czwartek w Wenecji. Przyjechaliśmy do Wenecji około godziny 8 rano. Zachodziła obawa, że będzie już po uroczystościach kościelnych. Tymczasem, dzięki energii Ks. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego wpuszczono nas do kościoła Karmelitów, blisko dworca. I wtedy, wśród śpiewu „U drzwi Twoich stoję, Panie", cały nasz pociąg, więc młodzi i starzy, panie i panowie, oczywiście wraz z kapłanami, którzy z nami jeździli, przystąpili do Komunii św.

Doprawdy, jest za co dziękować Bogu. Za to, że Polska tak się zbliżyła do Pana Jezusa Eucharystycznego, że tak się podniósł nasz poziom życia wewnętrznego. Bo przecież jeszcze jakieś dziesięć lat temu nie byłoby się obeszło bez biegania i szukania za możliwością spowiedzi. A dziś wszyscy, z taką prostotą, bez szczególnego umawiania się, i to w podróży, pomęczeni, po nocy byle jak przespanej, stanęli razem u stóp Tabernaculum. Bogu niech będą dzięki za wszystko.

Pociąg „czerwony" już około godziny piątej rano przyjechał do Wenecji, tak, że uczestnicy mogli skorzystać z cudownej przejażdżki gondolami, w prześliczny czas poranny. Dzieliliśmy się potem w Rzymie wrażeniami, porównywaliśmy rozkład podróży (było bowiem kilkanaście różnych pociągów z Polski), ale każdy uważał, że „u nas było lepiej".

Osobnym przeżyciem był sam pobyt w Rzymie, radowanie się jego skarbami sztuki, zwiedzanie pamiątek, katakumb, kościołów, muzeów... Krótki pobyt nie pozwalał na dokładne zapoznanie się z nimi, więc każdy niemal wyjeżdżając, miał jeszcze jakieś niespełnione marzenie. „Szkoda"! „Czasu nie starczyło"!

Z wielką serdecznością przyjmowano nas nie tylko w niedzielę po południu u pana ambasadora Wysockiego i jego małżonki, ale i na „święconym" w poniedziałek wielkanocny, u gościnnych państwa Janikowskich. Toteż czas był wypełniony pracowicie, i każda godzina wyzyskana, tak, że podróż powrotna stała się koniecznym wypoczynkiem i bynajmniej się nie dłużyła.

Niepodobna opisać, jak wiele nam dał ten żywy, bezpośredni kontakt z wielkością, wspaniałością Katolickiego Kościoła z Ojcem świętym na czele. Bo choć nas było tysiące, to każdy czuł się w bazylice św. Piotra jak u siebie, i dla każdego z nas była cała ta uroczystość i te feeryczne światła, ta symfonia barw i ten nastrój podniosły, i nade wszystko dla każdego z nas przybył Ojciec święty, niesiony nad głowami tłumu, wśród okrzyków radości, tak bliski, tak ojcowski, tak nad każdym wznoszący dłoń błogosławiącą!

A potem najuroczystsza chwila kanonizacji, — kiedy Papież, nałożywszy na głowę tiarę, siedząc na tronie, jako najwyższy Nauczyciel i Głowa Kościoła, orzeka, że nowi Święci przybyli Kościołowi: „auctoritate Domini nostri Jesu Christi, beatorum apostolorum Petri et Pauli ac Nostra... beatos Andream Bobola Martyrem, Joannem Leonardi et Salvatorem ab Horta S a n c t o s e s s e d e c e r n i m u s e t d e f i n i m u s. Cóż odda przeżycie tej chwili, dla człowieka wierzącego niewypowiedzianie wielkiej. Toteż wszyscy powtarzaliśmy z głębokim wzruszeniem następujący potem z kolei w ceremoniach kanonizacyjnych, uroczysty hymn **Te Deum laudamus**.

Komunikaty Sekretariatu.

Jak wiadomo, relikwie św. Andrzeja Boboli przybywają dnia 11 czerwca do Polski. Ponieważ z pewnością wiele naszych sodalicji weźmie udział w uroczystościach ku czci św. Andrzeja, podajemy poniżej ich ramowy program:

S o b o t a 11 czerwca. Około godz. 8-ej rano przywitanie w Zebrzydowicach relikwii przybywających z pielgrzymką z Rzymu, po czym odjazd do Dziedzic. — Odjazd do Oświęcima, gdzie trzygodzinny postój, przy tym krótkie postoje w Chrzanowie, Trzebini i Krzeszowicach.

O godz. 16-tej przyjazd pociągu z relikwiami do Krakowa, powitanie na dworcu, procesja na Rynku, w której wezmą udział parafie krakowskie, bractwa i stowarzyszenia religijne, które zgłoszą swój udział w procesji.

O godz. 19-tej nabożeństwo ku czci św. Andrzeja Boboli, potem błogosławieństwo relikwiami przez ks. Metropolitę A. Sapiehę, i przeniesienie ich procesjonalnie do kościoła Serca Jezusowego, gdzie odśpiewane zostanie Te Deum. Kościół pozostanie otwarty przez całą noc.

N i e d z i e l a 12 czerwca. O północy pierwsza Msza św. z kazaniem. Potem Msze św. aż do rana. Godz. 6 rano Msza św. dla Apostolstwa Modlitwy, oraz uczestniczek Kat. Stowarzyszeń Kobiet przybyłych wcześniejszymi pociągami. — Godzina 8-ma Msza św. Sodalicji Mariańskich, godzina 10-ta Suma pontyfikalna, godz. 15-ta krótkie nabożeństwo dla pielgrzymek, z przemową. Godzina 17-ta nieszpory pontyfikalne.

P o n i e d z i a ł e k. 13-go czerwca: Godzina 6-ta prymaria, godz. 8-ma Msza św. odprawiona przez Ks. Metropolitę Sapiehę, godz. 9-ta odprowadzenie na dworzec.

13-go i 14-go uroczystości w Katowicach.
15-go czerwca uroczystości w Poznaniu.
17-go czerwca przyjazd do Warszawy.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie, ul. Kaz. W. 95.